

W numerze: Zygmunt Fijas, Jan Huszcza, Leon Pasternak,
Magdalena Samozwaniec, Artur Marya Swinarski i inni

Cena numeru 15 zł

ROZGI BIJACO TYDZIEŃ

Rok II

18 maja 1947 r.

Nr. 21 (41)

WARSZAWSKA RADA ZW. ZAW. ORGANIZUJE PIERWSZĄ W KRAJU BRYGADĘ KONTROLI CEN



Rys. REGINA KANSKA

Cenna brygada...

LUDWIK JERZY KERN

Nie mam wielkich ambicji...

Nie mam wielkich ambicji,
(zresztą dobrze jest mi z tym),
wiem, że byłbym na przykład
bardzo kiepskim ministrem,

ministrowi • oledzy
wciął by ze mnie się śmiał.
Podczas ważnych posiedzeń
spaliby chyba na sali.

W moim resorcie by było
niby w raju wesoło:
z podwładnymi bym chodził
na węgry do Zoo.

Prasie, gdyby o sprawy
mnie pytała państwowe
opowiadałbym śmieszne
wizje antyrządowe.

Na przyjęciach pozwalał
bym całować się w dłonie,
bowiem nie mam pojęcia,
co wypada, a co nie.

Gdyby ktoś mnie posłuchał
bardzo dziwiłbym się mu.
Nie, nie, z całą pewnością
być ministrem bym nie mógł.

Bo, co zrobię, gdy mi się
polowanko przytrafi?
Strzelać prawie nie umiem,
a gdy strzelam to gaffy.

Fotografii też nie mam,
(zdjęcia dzisiaj są drogie!)
No, i proszę powiedzieć,
czy ministrem być mogę?

Nie, nie mogę i nie chcę.
Nie mam wielkich ambicji,
Wolę swoje odsłużyć
w satyrycznej milicji.

Wolę w nocy pobazgrać,
w gwiazdy sobie popatrzeć —
I mieć pewność, że nikt mi
uszu za to nie natrze...

STEFAN STEFANSKI

RÓŻNE NASZE DZIENNE SPRAWY

Mimo takich czy innych utyskiwań na prasę sensacyjną jest to prasa, trzeba przyznać, ambitna i nie szczędząca wysiłku dla jak najlepszego obsłużenia czytelnika. W tym celu np. nie korzysta ona — za wzorem dzienników t. zw. poważnych — z żadnej utartej drogi informacyjnej (PAP, RAP czy SAP), ale polega głównie na własnym kablu i bogatym sztabie korespondentów, specjalistów od dostarczania wiadomości ciekawych tudzież oryginalnych. Np. o koniach Elisabeth Arden, odżywiających się żarówkami „Osram”, o tonnach złota w Żeganiu, o plaku pterogogu („bez głowy i w ogóle go nie ma”)...

Zwłaszcza dużo zawdzięcza własnym korespondentom „Wieczoru Warszawy”. W Nr 128 (220) tego interesującego organu (z dn. 12 maja b. r.) znajdujemy „kawalek” p. t. „Miłostki odmłodzonego staruszka” czyli „Jak urodził się Mefistofeles w Hollywood”. „korespondencja własna „Wieczoru Warszawy”.

Własna? Z Hollywoodu? Ejże! W każdym bądź razie korespondent, jadąc do Ameryki, kupił sobie „Dziennik Łódzki” Nr. 391 (518) z dn. 1 grudnia 1946 r. Tam właśnie po raz pierwszy były drukowane „Miłostki odmłodzonego staruszka”. Niestety, nie jako „korespondencja własna z Hollywood”, ale prosto jako przeróbka z przedwojennego pisma francuskiego.

Korespondenci własni „Wieczoru Warszawy” grzeszą cudzą fantazją, korespondent „Dziś i jutro” (z dn. 20. 4. b. r.) zgrzeszył dwornością słownika polemicznego.

„Rezygnuję — pisze — z dalszej przesyłki „Dziś i jutro”, bo jestem oburzony z powodu wydrukowania w czasopiśmie noszącym podtytuł: „Katolicki Tygodnik Społeczny „Ilistu jakiejś

ulicznicy, podpisującej się Zofia Z, mającej jeszcze odwagę powołać się na Boga”.

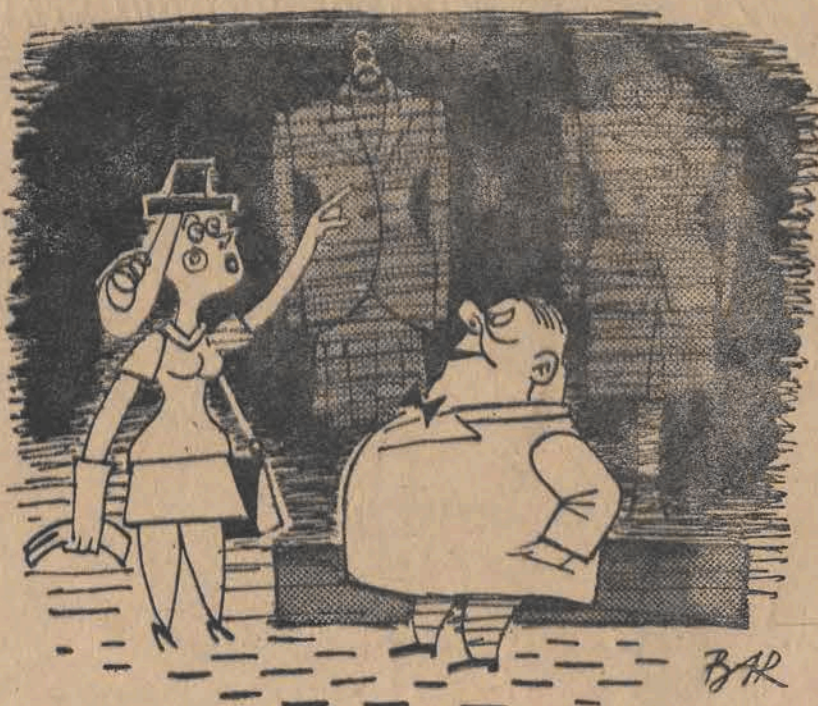
„Ulicznica”: Hm, hm... Szkoda, że nie k... Ładnie by taki „druk” wyglądał w czasopiśmie noszącym podtytuł: „Katolicki Tygodnik Społeczny”!

— * —

W Nr 126 (676) „Dziennika Łódzkiego” (z dn. 10. 5. b. r.) mamy znów wzór korespondencji z urzędu:

„Okręgowy Urząd Likwidacyjny podziela zdanie, że instrumenty muzyczne winny znajdować się przede wszystkim w ręku fachowców — muzyków, niemniej nie może zgodzić się z tym, że fortepian znajduje się w mieszkaniu nieumiejącego grać robotnika, marnuje się, gdyż właśnie może syn tego robotnika wystukujący dziś jednym palcem „Wlazł kotek” będzie przyszłym Paderewskim lub Sztompką”.

Niech nam Okręgowy Urząd Likwidacyjny „nie mruga” fortepianem znajdującym się w mieszkaniu nieumiejącego grać robotnika. Ani tym, że jak się postuka jednym palcem „Wlazł kotek”, to się zostanie Paderewskim lub Sztompką. Te patetyczne uwagi nie zmieniają bowiem fatalnego stanu rzeczy: instrumenty muzyczne są tak rozprowadzone, że brak ich dla fachowców, a pozostają w nadmiarze w różnych niepowołanych rękach. Rękach — bynajmniej nie robotniczych.”



Rys. Karol Baraniecki

- Ile kosztuje ten kostium?
- Dwadzieścia tysięcy!
- Fiu-u-u! A ten drugi?
- Niech pani gwizdnie dwa razy!

MARGOT BENNET

Przed 2200 laty żył w starożytnej Grecji wielki filozof Diogenes.

Jak się zdaje, stosunki mieszkaniowe były wówczas również trudne, gdyż Diogenes mieszkał w beczce na rynku w Atenach i chodził w dzień po ulicach tego miasta z zapaloną latarnią w rękę, by znaleźć, jak mówił uczciwego człowieka.

W roku 1946 przebywający w zaświatach filozof postanowił powrócić na ziemię, by zobaczyć, jak się układają stosunki i czy łatwiej o uczciwych ludzi niż niegdys w Grecji.



Pewnego pięknego poranka o godz. 10 znalazł się na ulicy N. Yorku, a już o godz. 10 min. 2 leżał w rynsztoku, potrącony przez skradziony samochód, którym uciekał złodziej, nie zważając na ostrzegawcze światła.

Podczas, gdy starzec się podnosił, nadszedł policjant.

— Czy to pańskie? — zapytał — wskazując latarnię, która wypadła z ręki filozofa.

— Tak jest — odpowiedział gość z zaświatów.

— Proszę to zabrać. Czy chce pan, aby jakiś samochód zniszczył sobie oponę? Co to jest właściwie?

— To moja latarnia. Jestem Diogenes i powróciłem na poszukiwanie uczciwego człowieka.



— A to dziwak — zawyrokował policjant — Proszę iść na inną ulicę. No, idź pan i zażyj lekarstwo — zakończył i pobiegł gwiżdżąc przeraźliwie na obywatela, który chciał przejść ulicę w niedozwolonym miejscu.

Diogenes otrząsał się z kurzu i podniósł latarnię. Była pogięta i popsuta. Filozof kochał ją, tę swoją lampę, która służyła mu już tyle wieków.



— Moje badania mogą poczekać — pomyślał — trzeba najpierw naprawić tę starą, wierną latarnię.

W SKLEPIE

Odszukał sklep, który sprzedawał rozmaite lampy.

— Nie ma ich wiele — oświadczył sprzedawca — ale na pańskie szczęście dziś otrzymaliśmy kilka.

Filozof odrzekł, iż nie chodził mu o kupno nowej, lecz naprawę starej, zepsutej latarni.

— Doprawdy — odpowiedział subiekt — nie warto. Jeżeli pan kupował takie stare graty, niedługo panu posłużą. Nigdy nie widziałem takiej marki. Lepiej kupić nową. Zapłaci pan drożej, ale będzie pan miał lepszy towar.

— Nie mógłbym używać innej latarni — oświadczył Diogenes



— Ta należy poniekąd do tradycji. Jeżeli jednak sprzedajecie nowe lampy, to musicie mieć warsztat do napraw. Pomówię z mechanikiem i wytłumaczę mu, o co chodzi.

— Niestety, tylko sprzedajemy, lecz nie naprawiamy lamp — usłyszał w odpowiedzi.

— Gdy jednak coś się zepsuje w sprzedawanych przez was latarniach, co robicie wówczas? — zapytał Diogenes.

Sprzedawca uśmiechnął się. — Posłuchaj staruszku — rzekł poufale — towaru, jaki my sprzedajemy, nawet Edison nie potrafiłby naprawić. Gdybyśmy mieli warsztat napraw, musiałby być większy niż nasz sklep. My nawet biura zażaleń nie mamy.

Gdzieś jednak można naprawić kupione u was lampy?

— Tych klientów odsyłamy do Joe, to jest specjalista od napraw.

„NIECH PAN SIĘ ZGŁOSI ZA PARĘ MIESIĘCY”

Diogenes wziął dorożkę i pojechał pod wskazany adres. Za kurs, który kosztował 60 centów, zapłacił 1,5 dolara.



Wszedł do sklepu i czekał cierpliwie, aż ktoś zwróci na niego uwagę.

— Czego pan sobie życzy, dziadku — zapytał młodzieniec za ladą.

— Moja latarnia wymaga naprawy — odpowiedział filozof. — Widzę to. Podobne modele łatwo się psują.

— Czy macie takie latarnie? — ze zdziwieniem zapytał Diogenes.

— Zapewne. Ludzie ciągle takie przynoszą i mamy z nimi tylko kłopot.

— Byłbym przysięgi — pomyślał starzec — że to jedyna taka lampka w całym Nowym Yorku.

Chłopak za ladą powiedział dalej, że mają pełny magazyn takich lamp. Ludzie kupują widocznie często te graty.

Obejrzał lampę i pokiwał głową.

— Niech pan ją zostawi. Zobaczymy co się da zrobić. Niech się pan zgłosi za parę miesięcy.

— Ależ muszę ją mieć dziś jeszcze — zawołał Diogenes.

— Wątpię, czy da się to zrobić, lecz niech pan przyjdzie o drugiej lub trzeciej. Jeżeli będziemy mogli, naprawimy ją. Nie wiem tylko, czy znajdziemy odpowiednie części.

— Trzeba ją tylko wyprostować — oświadczył staruszek. — Nie dawałbym jej w ogóle do

naprawy, lecz moje zajęcie wymaga jak najwięcej światła. Coś mi się zdaje, że nawet reflektor okrętowy tu nie wystarczy. Przyjdę więc o drugiej.

29 DOLARÓW

Zrobił jak powiedział. O drugiej zapytał, czy lampka gotowa. Subiekt wszedł do warsztatu i za chwilę wrócił niosąc latarnię i ścierkę.

— Oto jest — powiedział rzucając ścierkę pod ladę.

— Należy się 29 dolarów i 30 centów. Zrobiliśmy to specjalnie dla pana.

— Przecież niczego nie naprawiliśmy — zawołał oburzony filozof poprostu otrzepaliście ją z kurzu. Jak możecie liczyć 29 dolarów i 30 centów poprostu za nic?

— Zaraz to panu wyszczególnię przyjacieli — odpowiedział subiekt. Za części dwa dolary, robotę — 10 dolarów, 2 dolary za odstawę.

— Przecież nie odsyłaliście jej. Sam po nią przyszedłem.

— To nie nasza wina, że pan nie ma mieszkania. Gdyby pan był zostawił adres, byłibyśmy latarnię odesłali. Wobec tego 2 dolary za to, że pan po nią przyszedł. Za koszt firmowy należy się 9 dolarów i 4 dolary, 30 centów za różne wydatki.

— Ileż byście żądali, gdybyście wiedzieli, że to latarnia Diogenesa?

— Słuchaj staruszku, nie obchodzi nas, jak do niej doszedłeś. To twój interes, a my mamy swój.

ROZMOWA Z PLATONEM

Diogenes copredzej powrócił w zaświatały. Pierwszą osobą, którą spotkał, był jego kolega, filozof Platon.



— Słyszałem, że byłeś w Stanach Zjednoczonych i szukałeś tam z twoją latarnią uczciwego człowieka. Jakżeś ci się powiodło?

— Miałem wyjątkowe szczęście — odpowiedział Diogenes, padając z westchnieniem ulgi na najbliższy fotel — nikt nie ukradł mi mojej latarni.

Tłumaczył
Benedykt Brykczynski

PRZEWODNICZĄCY CZESKIEGO ZGROMADZENIA NARODOWEGO, J. DAVID, OŚWIADCZYŁ, ŻE CZECHOSŁOWACJA NIE PRZYJMIE POŻYCZKI AMERYKAŃSKIEJ NA WARUNKACH „GRECHICH”



Rys. Tadeusz Uściowski

DAWID I GOLIAT

ZYGMUNT FIJAS

Tymon Skorupka, przywódca niezależnej grupy „Protagon” padł na progu swego domu. Kiedy dzięki bohaterkiej postawie Pogotowia zmysły odzyskał, wrócił na stryszek, gdzie mieścił się jego dorobek i przystąpił z energią do niszczenia swych dzieł.

Prerażona rodzina chciała zażądać Pogotowie, była bowiem pewna, że Tymonowi znowu zmieszają się klepki, ale uspokoiła się, gdy rzeźbiarz rzekł:

— Nie sądzicie, że straciłem zmysły, odzyskałem je przed paru godzinami. Teraz dopiero będziemy wiedzieć, że żyjemy. Przede wszystkim surowca brak, rozumiecie?

Zaintrygowana rodzina zajęła stanowisko wyczekujące, jak to zwykle w rodzinie, przy kuchni, robótkach, przy nocniczku, ale gdy Tymon odciął głowę „Fauna pływającego wódę”, dzieła nagrodzonego trzykrotnie przez redakcję „Głosu” (1), babcia buchnęła krzykiem na całe cztery piętra. Zmodulowała timbre swego głosu, gdy syn rzekł:

— Ludzie wczorajsi, nie sprzeciwiajcie się! Wasze protesty nie prowadzą do niczego. Rzeczywiście oś nie jest psem, którego można przy trzymać za ogon. „Daremne żale, próżny trud, bezsilne ziorzeczenia przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia” Nie zlorzeczyc więc, proszę!

Zakończywszy pięknie cytatem z Asnyka, Tymon łupnął młotem w alabastrowe popiersie Ewy, kazał je patruc w moździerzcu a

następnie rozetrzeć w makutrze i dobrze przesiać.

Zdumiewa was, zapewne, ta opowiadka. Myślicie:

— Poco też ten jego wielbny Skorupka każe tłuc Ewę na proszek? Pewnie już zwarłował razem z autorem.

Otóż nie zwarłowałem dotąd. Skarżymy się na brak papieru, mamy oszczędzać, zaoszczędzę i ja trochę surowca. Powiem wam odrazu, zamiast końcowej pointy — Na proszek do zębów!

Kilka godzin przedtem Tymon nie byłby postąpił w tak zuchwały sposób.

Byłby śleczął w pracowni dniami i nocami, tygodniami i miesiącami... Byłby czekał aż będziecie łaskawie przynieść mu ramę do pomalowania albo imbryk do sklejenia. Potem, zachęcony waszymi obietnicami, marzyłby o tej chwili, kiedy któraś z was przyjdzie i skapitalizuje pieniądze w... dziełach, które są nieśmiertelne, a nie w... wódce, która jest śmiertelna.

Niestety, Tymon miał szczęście. Nie dał się nabrać na lep waszych słówek. Spotkał Sylwestra Pociągłę, znakomitego pejzażyście, który teraz robi w kosmetyce, i odrazu otworzyły mu się oczy. Dowiedział się, że dobra duchowe po wojnie spadły w cenę a artykuły produkcyjne pierwszej potrzeby wzrosły. Że na przykład

beczka ogórków „wraz z naczy-niem” kosztuje w wolnym obrocie złotych 5000 (słownie: pięć tysięcy) a kopa kapusty — 3.600, że wywiezienie jednej skrzynki popiołu kosztuje na rynku sztywnym 18 złotych (wraz z czekaniem), na rynku wolnym zł. 25 (bez czekania), dalej, że jedno wiadro wody loco wodociąg kosztuje 1 zł., że za kwintal trocin dębowych płać się 120 złotych, gdy za tę samą ilość trocin sosnowych można otrzymać kwotę tylko 100 złotych, że na furę popiołu wchodzi skrzynek 30, gdy platon trocin zawiera tylko 15 kwintali.

Jako człowiek czynu Tymon już nie dowiadywał się, ile kosztuje furą obrzynków z introligatami, a ile z wędliniami. Przeliczywszy wagę swej gipsowej „Ewy” na proszek do zębów, którego to artykułu 50 gramów (wraz z naczy-niem) kosztuje 40 zł., zlekceważył sumę 10.000 złotych, pobliż rzeźnika zobowiązującego się dostarczyć cielecinę wzamian za „Akt Lesbijki”, popchnął do basenu z wodą sprzedawcę czosnku i, jeśli chcecie wiedzieć, na progu zemlał właściwie z radości. Spotkał bowiem Sylwestra po raz drugi, przyrzekł wykorzystać wszelkie siły produkcyjne rodziny, przyjął od niego zamówienia na kilkanaście marmurowych tab-

na kilkanaście marmurowych tabliczek do krajania wędliny, zobowiązał się dostarczać proszek po cenie trzykrotnie większej niż ta, którą mógłby osiągnąć za gips „hurtem w kawałku” i, jeśli lubicie z zazdrości zieleń, wiedźcie, że rzeźbiarz opływa teraz we wszystko, a rodzinie właściwie cały dzień usta się nie zamykają. Nie z powodu niesnasek, tak charakterystycznych dla zespołów nie dożywionych, lecz dlatego, że dobra spożywczę są.

Teraz wszyscy mają zajęcia pod dostatkiem: babcia miele proszek maszynowo, Zdzisio miesza towar z mentolem, Andzia klei torebki, Jadzia rozsypuje gotowy materiał do naczyń. A Tymon — głowa całego interesu tylko w fotelu klubowym rozważa, kalkuluje.

Oczywiście, pracę duchową dla wieków chwilowo zarzucił. Powróci do niej, gdy już my wszyscy będziemy mieli czyste zęby. Mamy bowiem wielką społeczną korzyść z tego przedstawienia zwrotnicy. Dawniej rozpowszechniany proszek z gipsu surowego, który zalepiał wprawdzie otwory w zębach, ale też po dłuższym używaniu brzydło odbijał się na trawieniu, teraz towar jest pierwsza klasa, już nie wiąże się ze śliną, pojawia się na rynku kosmetycznym dopiero po przetworzeniu go z kawałkami na miał. I to jest poważna nowość!

LEON PASTERNAK

My kabotyni

Normalny facet kocha się, strzela, z rozpaczą tarza się po kanapie, my, taps za pióro, musimy przelać ból swój na papier...

Normalnie, różne prywatne tragedie zostają tylko w faceta rodzinie. My zaś, histrioni, musimy siebie oglądać — jak w kinie...

Musimy wywlec wszystko na pokaz, publicznie sobie w bebeczach gmerać! I — wciąż obserwując się spod oka — rymy dobierać...

Grymas wykrzywia nam usta (na niby!), twórcza nas zgaga żre i egzema, i strojąc miny do lustra lub szyby szepczemy w zachwycie: „Ach, co za temat...!”

Musimy sprawy najintymniejsze wykrzyścić w najwyższym diapazonie! I obnażamy się jak gejsze, jak obłąkami na balkonie...

A ledwie się skończy bladeńska aria i zanim wstyd nam za siebie przeminie, inkasujemy za ból honoraria — my kabotyni...

JAN HUSZCZA

Kilka dni temu jakiś solidnie wyglądający obywatel w ciągu najwyższej jednej minuty naruszył cały szereg przepisów o ruchu ulicznym. Jak nieprzytomny lawirował między taksówkami, potrącał przechodniów, ploszył pieski, przewrócił kiosk z papierosami — wreszcie szczęśliwie znalazł się na pomoście ruszającego tramwaju. Oczywiście, na przednim pomoście.

Ryżawą, korpulentną panią — usiłującą go dopędzić — zdążył zatrzymać milicjant.

— Uch — odetchnął spocony obywatel — wyrwałem się! Wyobraźcie sobie — zwrócił się do nas — od dwóch godzin opowiadała mi swoje przygody z wycieczki po Beskidach... A ja musiałem cierpliwie słuchać, chociaż sam mam za sobą cały szereg przygód i chciałbym je komukolwiek opowiedzieć... Otóż, moi panowie, było to w Rzeszowie, jechaliśmy właśnie samochodem...

Całe szczęście, że tramwaj przystanął. Szybko wyskoczyliśmy, aby uniknąć towarzysztwa pana, który najwyraźniej pragnął nas zmienić w swoich słuchaczy.

Tak, tak: ludzie naśladowani są przeżyciami jak parny dzień lipcowy elektrycznością. Byle okazja wydobywa zwierzenia, bowiem przeżycie nikomu nie opowiedziane traci na wartości, drażni tylko i zmusza do pogoni za jakimkolwiek, choćby nawet krostawym uchem drugiego człowieka.

Sprytniejsi zapraszają na likier, koniak i półrawkę z kurczaka. Po takiej konsumpcji nie wypada

Biuro Zwierzeń

wzbraniać się przed słuchaniem opowieści o losach.

Nie każdy jednak umie zaprosić na likier. Nie każdy ma znajomego, który wspaniałomyślnie wysłucha jej przejść z koleji, będzie zadawał pytania przerywane wykrzyknikami współczucia, zgrozy lub podziwu, czyszczeniem nosa w kraciatą chustkę, jednym słowem tysiące żyją w tęsknocie za słuchaczem!

I dusiłaby te tysiące niezrealizowana tęsknota, gdyby nie świeżo powstała firma pod nazwą „Koncesjonowane biuro zwierzeń Hipolita Cołaski”...

Biuro to stanowi grupka pań i panów, którzy w skromnym pokoiku siedzą na krzeselkach pod portretami, przedstawiającymi krajowe znakomitości, w oczekiwaniu na klientelę.

Klienci przychodzą, przysiadają się do poszczególnych funkcjonariuszy biura i opowiadają im swoje przeżycia. Można również telefonicznie zamiawiać przedstawicieli Hipolita Cołaski do prywatnego mieszkania.

Od rana w biurze panuje ruch. Gdyśmy tam byli, jako pierwsza zjawiała się obywatelka w żakiecie ze skunksów. Usłużnie ją powitano:

— Pani sobie życzy?

— Poproszę o słuchacza, któremu mogłabym opowiedzieć swoje perypetie małżeńskie z 1946-go roku! Ile to będzie kosztowało?

— Czy słuchacz ma brać w opowieści żywy udział, wyraża-

jący się okrzykami „ach” i „och”?

— Oczywiście...

— 1200 złotych, pozatym za każdy następny kwadrans trzysta złotych...

Następuje załatwienie klientki...

— Pan? zwraca się funkcjonariuszka do klienta w starszym wieku.

— Chciałbym opowiedzieć o tym, co przeżyłem w Kaliszu.

— Kiedy?

— Przed wojną...

— Zwierzenia przedwojenne o 15 proc. drożej.

— Zgadząm się! Pragnąłbym tylko jedynie, żeby podczas mego opowiadania zapierało pani dech w piersiach z emocji...

— Drobnosika. Jeszcze 5 proc. dodatku...

Następuje załatwienie klienta...

Drzwi się otwierają. Wchodzi nowy pacjent. Młody. Czarnobrewy. Chce się zwierzyć ze swego rozczarowania do życia.

— Rozczarowanie do życia? O, mamy od tego specjalistę. Reaguje żywo i ze zrozumieniem... Fanie Mundziu, pozwól pan do nas! — załatwia uprzejmie sekretarka „Biura zwierzeń”.

W międzyczasie gęsto terkocze telefon.

— Halo? Tak, tu „Biuro zwierzeń”... Pani życzy, ażeby przysłać do niej naszą przedstawicielkę? Jaki charakter wynurzeń? Plany na przyszłość... Dobrze już się robi!

Sekretarka odkłada słuchawkę

i zwraca się do wyondulowanej panienki:

— Panno Kizik, pani uda się pod adresem... (tu następuje wymienienie adresu dla nas szczególnie mało istotny).

Napisaliśmy powyższy obrazek z „Biura zwierzeń” i obawiamy się, że od zawiedzionych i rozwiedzionych, bohaterów i działaczy, kobiet i artystek, literatów i ogrodników otrzymamy tysiące listów z prośbą o adres biura.

Niestety, w biurze panuje narazie niesłychany natłok klienteli. Gdy będą jakieś luzy, natychmiast o tym zawiadomimy!

Tymczasem, kochani, postarajcie się jakoś nad sobą zapanować i nie wyładowywać swoich spraw przed bliskimi, znajomymi czy krewnymi. To ich naprawdę męczy. A oni przecież chcieliby odpocząć. Mają dość swoich przeżyć! Poza tym zaś sami noszą w sobie podobne do waszych zamiary...

Przedewszystkim, zdobądźcie się na wstrzemięźliwość przynajmniej w domach wypoczynkowych. Bo jak dotąd, w tych domach panuje, łagodnie mówiąc, koszmar. Nie można przejść się przez hall, żeby ktoś nie przycisnął za guzik od marynarki i nie zaczął!

— A wie pan, co za dziwne przejścia miałem. W 1943 roku...

— Nie wiem! Proszę jednak zostawić w spokoju guzik od marynarki! Nie! są drogie, w dodatku krawcy nie przyjmują drobnych reperacji ubraniowych!!! — oto jedyna męska odpowiedź na zaczepki tych, którzy chcą się zwierzać.

JAN CZARNY

Wierszyk pełen zazdrości

Ob. Dyrektorowi S. D.

Tak sobie myślę, tak sobie myślę,
że ja się nie znam nic na przemysł.
Nie wiem, co znaczą słowa: gremplować,
wiótkno, czólenko, wątek, osnowa.
Jeśli wzór ładny, to mnie napawa
serią zachwyków najlichszy krawat,
a nie rozróżniam portek z pokrzywy
od prima shortów z weiny prawdziwej...

Tak, tak, kochany Ob. Dyrektorze,
tak sobie myślę — niemądre może —
i reumatyzmy z okopów leczę
i kłnę na życie, które się wiecze...
Cóż? — Dla mnie Weltschmerz, mielkaja strasz,
Balsam Klasztorny i szara maść...

Więc, gdy tak myślę i myślę nadal,
to się w me serce zazdrość zakrada:
Zazdrość, że ci czapkuje subjekt,
zazdrość, że pupek, które się skubie,
zazdrość, że się twardy i miękki
często dostają do twojej ręki,
zazdrość, że Fiata i Cadillaca
(taki grat, gratka nie bylejaką)...
Willi zazdrość, złotego pióra
i wcale nie jest to głupi uraz,

naprawdę jest ci czego zazdrościć:
Prawie wszystkiego.
Prócz uczciwości.

MINISTER ANGIELSKI, DALTON, NIE CHCE UZNAĆ DŁUGÓW WOJENNYCH ZACIĄGNIĘTYCH W INDIACH, EGIPCIE I. T. D.



Rys. Stanisław Cieloch

DALTON - ISTA



DOBRY MAŻ

Na tysiąc trafi się czasem dobry mąż, znalazłam takiego. Posiadał wszystkie zalety, wyglądał tak, że bez wstydu można się było z nim pokazać w kawiarni czy teatrze. Żonle z własnego ogródka koło ich willi przynosił fiołki.

Wcale się nie dziwił, gdy w jej rachunkach domowych, po tygodniu, w rybryce pod „różne” widniało jak smok — dwadzieścia tysięcy!

— Rozumiesz — mówiła zlekka zarumieniona żona — żebracy, kawiamie, papier, twoje żyłki!

— Ależ rozumiem doskonale mówił z uśmiechem mąż.

Jasna rzecz, że takiego dobrego męża zdradza się („on nawet gdyby się domyślił, to nic nie powie, bo jest taki dobry i kocha mnie do szaleństwa!”)

— Wychodzę na całe popołudnie — mówiła jego żona — czy nie będziesz się zanadto nudził beze mnie?

— Będzie mi smutno, ale to nic, poczytam książkę, prześpię się..

— Ach, mój złoty, to może ja nie pójdę (i spogląda na zegarek, bo tam amant już czeka.)

— Ach, skąd, nie poświęcaj się dla mnie, idź, zabaw się, jesteś młoda, masz do tego pełne prawa!

Podlewana dobrocią męża miłość do kogo innego rośnie tak, że nasza babeczka postanawia rozwiść się z dobrym mężem i wyjść za mąż za amanta.

— Ja ci nie będę stawiał przeszkód — mówi dobry mąż z ciężkim westchnieniem — kochasz go, to idź za niego (do diabła! — nie dodaje). Tylko nie zrób mu krzywdy, to taki dobry i porządny chłopak!

Rozwódka płacze:

— Ach, — mówi łkając na ramieniu nowego męża, — jakie to straszne tak kogoś skrzywdzić! On taki dobry i tak mnie kochał! Nie wyobrażam sobie jego życia beze mnie...

— Powinnoś go od czasu do czasu odwiedzić — mówi słaczący amant.

— Ach, naturalnie, będę do niego wpadać, przyrzadzać mu kawkę, bo zawsze mówił, że nikt tak jak ja... Przecież ja także byłam do niego przywiązana. Jestem świnia i koniecznie

Przed podróżą poślubną autem nowego męża do Zakopanego ona postanawia wpaść jeszcze na chwilkę, ażeby ją pobłogosławił na nową drogę życia.

— Ty zostań w wozie, a ja skoczę na chwilę na górę, uściłkam go i i powiem mu, że był najlepszym mężem na świecie.

— Tylko się nie zasiedź zadługo na jego kolanach — mówi trochę zazdrosny amant.

— Ach skąd, skoczę tylko raz — dwa, uściłkam go, otrę mu łzy i wracam!

Łeć po schodach na górę i dzwoni. Długo nikt nie otwiera, czeka. Po kilku minutach dawny mąż otwiera drzwi. Jest w piżamie, „pożyczkę” na głowie ma zwichrzoną i okropnie głupią minę.

— Ach, to ty... — mówi niepewnie — Czegoś sobie życzysz? Czy może coś zostawiłaś w domu?

— Ciebie! — krzyczy gorąco i rzuca mu się na piasiste piersi, które jakoś dziwnie pachną nieznaną jej perfumą.

— Wybacz ale... jestem bardzo zajęty w tej chwili...

— Jaki?

— No, poproszę jest u mnie kobieta...

Żona wybucha wtedy słuszną pasją.

— Ach, więc to tak? Więc ty tylko udawałeś miłość do mnie! Więc nie będziesz nieszczęśliwy! Och, gdybym ja była wiedziała! Wiesz, wszystkiego byłabym się spodziewała, tylko nie tego! Jak to na nikogo w życiu nie można liczyć... — i z chustką przy oczach zbiega po schodach z powrotem.

— No, cóż? — pyta się nowy mąż przy kierownicy — Bardzo tragiczne było to wasze ostatnie pożegnanie?

— Widzisz... przecież... — i lka dalej.

— No, to może ja skoczę na górę i postaram się go jakoś pocieszyć... zablągować... że to może nie na długo, nie na zawsze, że może kiedyś do niego wrócisz, na przykład, gdy się mnie sprzykrzysz... Bo inaczej, b'edak, może jeszcze popelnąć jakiś szaleńczy krok z okna na bruk, powiedzmy, a mieszka na drugim piętrze.

— Ach, nie, — odpowiada na to splakana żona — nie idź tam, broń Boże, on jest obecnie w takim nastroju, że gotów się na ciebie rzucić, udusić. Powinien teraz w zupełnym nastroju, to nasze rozjeście się, przeboleć i... zapomnieć...

Magdalena Samozwaniec

ARTUR MARYA SWINARSKI

Pamflety na panny

NA MARIANNE

Gdybyś nie była tak przepastnie dumna (głowa we mgle, a stopy na koturnach!) gdybyś teatru miała w sobie mniej — może by wtedy tobie było ciężiej (choć mózgu twego myśl nie nadwyreży), ale mnie byłoby lżej.

NA IWONNE

Jesteś, mówią zle języki, laka zabobonna, że co trzynastemu ponoć odmawiasz, Iwonno...

NA DEWOTKĘ JEDNĄ

Pod krzyżem upadasz we dnie, by cię gawiedź oglądała. Zresztą w nocy też upadasz, lecz po innej części ciała.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Epitafia na grobach poetów

(nie w porządku alfabetycznym)

Dedykacja

Poetom: Żyćcie jeszcze sto lat na tym globie!
Czytelnikom: Zgadnijcie, czyj napis na grobie!

1

Płacicie, Hermenegildo, Piotrusiu, Gzęgźółkol
Cherubiny go wzięły za rączkę w swe kółkol

2

Głęb lasu rąbał słowem w nieprzebytej ciemni,
aż strudzony tu znalazł swe miejsce na ziemi.

3

Oczy, usła zawarte śmiertelną agrafią,
na tamten świat mu drogę otworzył semator.

4

Najpierw z pola notatnik, potem znad Dunaju,
najciekawszy ten będzie z Persefony kraju.

5

Zamknął oczy: rzecz ludzka. Śpiewajcie mu kwiaty,
muzy jego serdecznej białe emblematy!

6

Dźwigał imię Tolstoja, Borysa nazwisko,
to zbyt odpowiedzialne, więc odszedł chłopisko.

7

Broń na bagniet, poeto, i śmierć nim na wylot!
Czy przed nią jedną twoje ramiona się schyliły?

8

Napis: „miejsce w historii i zastygła sława”
na „biały dom” ci kładzie go wdzięczna Warszawa.

9

Pomyśl, przechodniu, który wzioł na grób ten zwrócić:
z żdźbia, człowiecze, powstałeś i w żdźbło się obrócić.

10

Zamiast Bloka — blok szary: taka życia cena!
Niech mu kamień ten lżejszy będzie, niż „Kamena”.



Rys. Karol Baranicki

Pasek na pasek!

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Z wiosennego pamiętnika maturzysty

W wiosenną noc, gdy słowik kwili,
Mickiewicz kochał się w Maryli,
W dziewczynie z dworku litewskiego,
A ja, posłuszny sercu swemu,
Kocham Marylę z ZWM-u
Skutek: obciąłem się z polskiego.

Noc lśniła gwiazdną panoramą,
A ja deklinowałem: amo,
Amare, patrząc w twarz jedynej.
Skutek: obciąłem się z łaciny.

Ścisnąc dłoń jej, ach, w zachwycie
Liczyłem serca mego bicie.
Skutek: za pracę tę dostałem
Z matematyki gorzką palę.

Więc pełen melancholii czarnej,
Idąc w naszego wieszczą ślady,
Wołam: „Kobieto; puchu marny;
Złudna i wietrzna ty istoto,
Przez ciebie jeden pisze „Dziady”
Drugi na dziady schodzi oto!”

Kącik niezadowolonych

Mam bardzo dużo spraw, które powinienem załatwić, ale jakoś nie mogę. Tymczasem jeszcze więcej spraw się gromadzi. Nie wiem, co to będzie?
Stefan Śniegocki z Mogielnicy (obecnie Kraków)

Ostatniej niedzieli walczyłem z Piefraszkiem II o mistrzostwo Skierulewic. Pierwsza runda zeszła nam na wzajemnym badaniu, w drugiej wyceLOWAŁEM prawy prosty, żeby znokautować przeciwnika, tymczasem on chwileczkę wcześniej wyceLOWAŁ lewy prosty i znokautował mnie. Było mi bardzo przykro.
Józef Śliwka, b. mistrz Skierulewic w wadze pół-średniej.

Mój narzekony nżywa w rozmowie bardzo często słowa „mystyfikacja”. Nie rozumiem, co to znaczy i wstydzę się się zapytać. Przyszło mi do głowy, że mogłoby być pytanie nie jego, a kogo innego. Kiedy już byłam tego bliska, w ostatniej chwili też się zawstydziałam i nie zapytałam.

Wanda Piszczyska
Nauczycielka Kursów dokształcających w Ożarowie.

W domu przy ulicy Killińskiego została sfukczona sryba w drzwiach wejściowych. Pani Przyborowska z Komitetu Domowego rozpowiada wszystkim, że to ja ją sfukczem, mimo iż w dniu, kiedy to się stało byłem w Walbrzychu. Zresztą przypadkowo stałem w oknie i widziałem, że to zrobił doktor M. z II piętra.

mac. Jan Przepiórkowski

30. lat temu poznałem tutejszą piękność i zakochałem się w niej bez pamięci. Rodzina jej była przeciwna naszemu związkowi, szczególnie brat, który zadzieriał nosa z tego powodu, że kończył agronomię. Przerwycałem jednak wszystkie trudności i poślubiłem moją ukochaną. Przedwczoraj żona uderzyła mnie miotłą w głowę, moim zdaniem, bez istotnego powodu.

Będąc w szkole, kolega zaproponował mi pójście do kina. Ja miałem ochotę iść na Toma Mixa, a on na Harolda Lloyd'a. Zgodziłem się iść na Harolda Lloyd'a, ponieważ pomyślałem sobie, że byłoby mi przykro, gdyby on siedział na Tomie Mixie, nie mając na to ochoty. W zeszłym tygodniu spotkałem po raz pierwszy po wielu latach tego kolegę, który jest obecnie wice-ministrem. Przywitał mnie bardzo chłodno, mówił do mnie „pan” i szybko się pożegnał.

Maryś Trzaska
były uczeń Szkoły Mazowieckiej

Kiedy patrzę wieczorem na zachód słońca, myślę o znikomości spraw do czynnych i żałuję, że nie jestem poetą, by móc to opisać.

Józef Śniegocki — Mogielnica

Miałem wczoraj wieczór tak zdumiewający wypadek, że nie mogę jeszcze ochłonąć. Otóż, wracam do domu, otwieram drzwi wejściowe kluczykiem

Rozwiązanie konkursu świątecznego „RÓZEG”

W Nr 15 (35) „Rózeg” z dnia 6. 4. br. zwróiliśmy się do czytelników z prośbą o wymyślenie podpisu pod rysunek Zenona Wasilewskiego, przedstawiający podróżnych rozmawiających w pociągu.

Wezwanie nasze nie minęło bez echa: w określonym terminie (do 30. 4. br. włącznie) otrzymaliśmy aż 3789 odpowiedzi. Ilość znaczna, a jakości...
Np. p. Leon Osmólski (Kościerzyna, budynek dworcowy) domyślił się, że podróżni musieli prowadzić następującą rozmowę:

Pasażer prawy: Patrz pan! Pogodnie, a gromot gdzieś trzepań!

Pasażer lewy: Faktycznie. I to w ubikację, bo czuć!

Bardzo oryginalna jest odpowiedź p. Józefa Sobieraja (Miawa, ul. Graniczna 30):

„Nie na baby pchał górą, a będą mosty jak ta lala!”

P. mgr. Ludmiła Keslerowa (Kraków, ul. Św. Jana 18) podejrzewa, że podróżni rozmawiają „reakcyjnie” na tematy polityczne. (Wskazuje na to wyraz ich twarzy).

P. Janusz Bładowski (Wrocław, ul. Stalina 104, zakład zegarmistrzowski) „rozwiązał” konkurs zgrabnym wierszykiem a propos:

Nic w naturze nie ginie,
prowa do jest znana,
przedmiot ukradziony
zmienia tylko pana.

P. Malarz Leszek (Łódź, 11 Listopada 21) proponuje taką rozmowę:

Podróżny I: W mojej rodzinie, proszę pana, są sami wielcy ludzie...

Podróżny II: Przepraszam, a czym był pański ojciec?

Podróżny I: Do roku 1945 pacjentem zakładu dla umysłowo chorych, a od 1945 roku dyrektorem tegoż zakładu...

P. Sulimowski Stanisław (Wrocław, ul. Żytnia 84) nadesłał w charakterze podpisu pod rysunek dwustronicowe wypracowanie o szkodliwości spożywania alkoholu.

P. E. Łojewski (Złotoryja, Powiatowy Ośrodek Zdrowia) „odliczył” ze swego repertuaru fenomenalny kawał!

— Czy wiesz, czemu ta pani ucieka

od męża po ślubie?

— ?

— Bo to fenomen: dotąd był jej mężem, a wczoraj stał się żoną.

P. Mikulewicz Jan (Ostróda, ul. Żymierskiego 16 m. 8) utrzymuje, że jeden z podróżnych jest restauratorem w Warszawie i nastoił swemu konkurentowi klienta „na darmo”.

P. Jadwiga Bilwin, ul. Narbutta 40 m. 10) mimo widocznego dyktansu, jaki dziełi podróżnych, twierdzi, że:

Od ucha do ucha
płynie wieść głucha.

P. Szczepański Tomasz (Andrychów, Bobrowskiego 137) załatwia rzecz krótko:

Rozmowa potentata z imponentem.

Z pośród paru tysięcy podobnie dowcipnych odpowiedzi niełatwo przyszło Redakcji wybrać najdowcipniejsze.

I. Pierwszą nagrodę (w wysokości 3000 złotych) wyróżniliśmy p. Irenę Ochmanową (Marysin Wawerski koło Warszawy, ul. Powszechna 27) za podpis:

— Przepraszam, czy pan jest Kogutkiewicz, Warszawa, Targowa 24? Firma „Kogutkiewicz i Spółka”...

— Nie, proszę pana, nie jestem Kogutkiewicz...

— O to właśnie chodził, bo ja jestem Kogutkiewicz, a ta walizka, z którą pan wszedł we Wrocławiu, to jest moja walizka!

II. Druga nagroda (w wysokości 2000 złotych) została przyznana p. Helenie Szufrowej (Gorlice, Słowackiego 9) za podpis:

— Z tymi porządkami na naszych stacjach to prawdziwy skandal! Niedawno np. jak się poślizgnąłem o jakieś śmieci na dworcu w Łodzi to latałem dwa dziesiąta dni...

— I przez ten czas nikt pana nie podniósł?

III. Trzecia nagroda (roczna prenumerata „Rózeg”) przypadła w udziale p. Kazimierzowi Wojciechowskiemu podpis:

— Duszno w tym przedziale jak diabli! Mogłby pan otworzyć okno!

— A czemu pan sam tego nie zrobi?

— Nie głupim: okno święte malowane!

Tale! Rozbieram się w przedpokój! Idę korytarzem! Otwieram drzwi mego pokoju! Wchodzę... I co widzę?

Nic!

Gustaw Drabiński
urzędnik PKO — Bydgoszcz

Strasznie się martwię: przewróciło mi się w głowie i jakoś nie mogę sobie z tym poradzić. To jest bardzo nieprzyjemne, bo czuję, że się ma głupią minę

i że mądzej niż namiewają się. W zeszłym tygodniu spotkałem po raz pierwszy po wielu latach kolegę szkolnego, który posiadał kiedyś ze mną na Harolda Lloyd'a, choć sam wolał iść na Toma Mixa. Mimo to przywitałem się z nim bardzo chłodno, mówiłem do niego „pan” i szybko się pożegnałem. Nie mogę nad tymi rzeczami zapanować. (Z pewnych względów nie możemy podać nazwiska autora tego listu: Red.)



Rys. Adam Bieńkowski

— Ach, żeby księżyc mógł zdradzić, czy jesteś mi wierną!



— Tak moja droga. Czasy są ciężkie, musimy zrezygnować z wielu rzeczy: ja np. postanowiłem zrezygnować z małżeństwa z tobą!



— Wiesz, najdroższa, wiosną całą naturę odnawia się i odmładza! Może masz jakąś przyjaciółkę, która jest młodsza i ładniejsza od ciebie?

Z naszych scen



Rys. STANISŁAW CIELOCH

„SZKLANA MENAŻERIA”